

Nagrywa swoje strzępy wspomnień /może nie powiązane w wielką całość/ Janina Szware z domu Gabryś córka Zofii Niedzielskiej ur. 8 II 1931 r. w Rzeszowie.

Dzieciństwo swoje spędziłam na ziemiach wschodnich razem z rodzicami. Rodzice pochodzili oboje ze Lwowa. Ojciec był kiedyś oficerem zawodowym, pracował w K.O.P.-ie do bodajże 35 r. Później był w Rzeszowie. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę i pracował jako urzędnik w Roszniowie w woj. stanisławowskim przy tartaku państwowym.

We wrześniu 1939 r. ojciec został powołany do wojska. Poszedł do jednostki wojskowej /nie wiem do jakiej/. Ja pozostałam z matką. Matka nie pracowała. Jak wydaje mi się w porównaniu z obecnie bardzo dzielnymi, prężnymi kobietami należała do grupy ludzi mało zaradnych. Moje pierwsze zetknięcie się dziecka z wojną to było cofanie się polskich bardzo drobnych, małych jednostek wojskowych w kierunku zachodnim. Były organizowane dla tych biednych żołnierzy punkty żywieniowe wzdłuż drogi wycofywania się. Polki, między innymi moja matka, przygotowywały posiłki dla tych żołnierzy. To są moje pierwsze wspomnienia. Później tą samą drogą wkroczyły czołgi ruskie, bolszewickie. Krążył taki dowcip, który pamiętam z opowiadania, że czołgi rosyjskie są bardzo ludne i liczne, dużo ludzi obsługuje czołg, bo jeden kieruje, a 49 pcha. To były moje wspomnienia z okresu przejścia frontu. Wielkich walk właściwie na tym terytorium nie było, nie pamiętam.

Mama ciągle gdzieś uciekała. Przenosiła się naprzód do babki, która mieszkała we wsi ukraińskiej w Krechowicach, u swojej siostry miała pokój, więc u niej zamieszkałyśmy. Później znowu wróciłyśmy do osady, do Roszniowa. Zaczęły się bardzo ciężkie chwile dla nas dlatego, że matka musiała być przygotowana mo-

ralnie na wywózkę, ponieważ była żoną oficera. Były rewizje u nas w domu. Przychodzili, pytali "gdzie twój mąż jest?" No i mama odpowiadała "poszedł na wojnę". "A czy twój mąż był oficerem?" Mama prawdopodobna chciała odpowiedzieć "tak, był oficerem". I wtedy ktoś stojący, chyba z tubylców kiwnął głową mamie "nie". I mama powiedziała "nie". I to ją uratowało. Bo byłaby na pewno wysłana w pierwszej kolejności do Rosji. Później były jeszcze jakieś rewizje. Ja w tych rewizjach nie uczestniczyłam. No i na tym się skończyło. Z tym, że stale byliśmy przygotowane z mamą na wywiezienie do Rosji, do tego stopnia, że mama wszystkie rzeczy z domu wysłała do swojej ukraińskiej gospodyni, która przed wojną przynosiła nam nabiał. W domu były tylko 2 łóżka, ja miałam od babci kożuszek. Zamiast chować się, uciekać gdzieś, to człowiek przygotowywał się do wyjazdu. Jedzenie przygotowane na bieżące potrzeby, stale świeże, odnawiane. Pamiętam taką noc, kiedy mama widocznie wiedziała o tym ... Sygnałem, że mają wywozić było podstawienie transportu wagonów na bocznice kolejową, na stację, które miały takie typowe kominki. I te wagony z kominkami oznaczały wywózkę. Wiadomo było, że zbliża się jakiś dzień, że będzie branka, no i wtedy wszyscy psychicznie byli nastawieni na to, że mogą być wywiezieni. Pamiętam, że mama w nocy chodziła po mieszkaniu, bo dowiedziała się, że samochody w czasie tej nocy mają zabierać ludzi. W pewnym momencie podchodzi do mnie i mówi "wstawaj, bo samochód podjechał". Wzięła mnie za rękę. Ja podchodzę do okna i widzę rzeczywiście, ciężarowy samochód podjeżdża pod furtkę, zatrzymuje się, ktoś wysiada, dochodzi do furtki, kładzie rękę na klamce. A również gospodarze tego domu, właściciel był przygotowany do wywiezienia. Miał trójkę dzieci. I w tym momencie ten ktoś, kto miał położoną rękę na klamce cofnął się, wsiadł



do samochodu i pojechali do następnego domu. Z tego następnego domu wywieźli jakąś rodzinę, z którą byliśmy zaprzyjaźnieni. No, ale wyjechali. Nie pamiętam w tej chwili, jak ta rodzina się nazywała. Natomiast ci gospodarze, którzy też byli przygotowani nazywali się Januszewicze. W tym domu w tym czasie mieszkał niejaki pan Głowacki, który w okresie kiedy przyszli Niemcy /ja wyprzedzam trochę fakty/ miał nazwisko Hołowaty. I on był jednym z przywódców ugrupowań ukraińskich tworzących tzw. powstanie. W tym czasie mieszkaliśmy w jednym domu. Stosunki nasze przedwojną między moimi rodzicami, a nimi były bardzo poprawne. Nawet moja matka była chręstną matką jego żony /siostry dziecka. A mąż tej pani był oficerem, który brał udział pod Monte Cassino i jego nazwisko zostało wymienione w książkach Wańkowicza. Nie było jeszcze w tym momencie żadnych animozji polsko-ukraińskich. Było to takie normalne ludzkie życie. Ale wracając jeszcze do okresu rosyjskiego, bolszewickiego. Cóż z tego okresu jeszcze pamiętam? Nie pamiętam zupełnie zachowania się żołnierzy sowieckich podczas wkraczania. To były jednostki, a właściwie pamiętam tylko wkraczające czołgi. Nie pamiętam żołnierzy zupełnie.

- Co się zmieniło w stosunkach między ludźmi tej wsi od momentu, kiedy wkroczyli Rosjanie. Czy nastąpiła jakaś zmiana?
- To była osada. Tam gdzie rodzice mieszkali była polska osada, gdzie były 2 przedsiębiorstwa, przepiękne 2 tartaki: jeden państwowy, drugi żydowsko-niemiecki. Co się zmieniło? Wrogi stosunek był Żydów do Polaków, nieżyczliwy, dochodzący do skrajności. Pamiętam, jak byłam chora, jako małe dziecko. Matka oczywiście zrozpaczona, bo ani jedzenia nie było, ani lekarstw. Chodziła do sklepiku żydowskiego, gdzie odmówiono jej sprzedaży napojów dla chorego dziecka, mimo, że wiedział, że matka jest

sama w trudnej sytuacji. To był Żyd w tym kiosku na pewno.

- A jak sądzisz, skąd się brała ta wroga postawa?

- Ja w tym czasie nie analizowałam tego, skąd się brała ta wroga postawa Żydów. Właśnie te sprawy wyjaśnia prof. Gos w swojej książce, jak również niektóre dokumenty tam zawarte. Pamiętam jeszcze taką rzecz, jak Moskale cofali się z tej ziemi, już jak wybuchła wojna niemiecko-ruska, poniszczyli, zostawiali za sobą metodą spalonej ziemi wszystko. I ludzie prosili, błagali te jednostki, które przyszły niszczyć i spalić tartak, jak również coś w rodzaju składnicy ropy naftowej i benzyny, że to jest ich jedyny ratunek, jedyne miejsce pracy. I oni się zgodzili na to. Nie zniszczyli, ale powiedzieli "nie mówcie, żeśmy tutaj byli".

Pamiętam taką historię. W tym czasie rodzina mojej matki była we Lwowie, jeździliśmy do Lwowa. I taki obrazek mi utkwiał. Prawdopodobnie był chowany żołnierz ruski, wieziono na otwartej ciężarówce trumnę, na tym wymalowany na czerwono był obelisk z gwiazdą. Za samochodem szli żołnierze i ruskie kobiety, które szły w koszulach nocnych. Utkwiło mi to w pamięci.

Przyjeżdżali do tartaku tzw. fachowcy z Rosji, inaczej inżynierowie rosyjscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Wykupywali różne rzeczy we Lwowie. Matka moja знаła rosyjską panią inżynier. Prosiła ona moją matkę, żeby jej wskazać jakiś adres, gdzie mogłaby przerobić sobie kostium, ponieważ tak schudła, że nje może w nim chodzić. Mama podglądała te rzeczy niby jej, wszędzie były napisy firmy lwowskiej. Później przyszedł rozkaz i pewnej nocy oni wszyscy zniknęli. Tzn. kazali im wyjechać w momencie kiedy się zbliżał front.

- Wspominałaś o tym panu Hołowatym czy Głowackim po polsku, o tym powstaniu. Czy tam odbywały się ruchy ukraińskie natury



politycznej czy militarnej?

- Los tak dziwnie zrządził, że moja matka przeniosła się do innego domu i on również tam mieszkał. I to był tylko dwurodzinny dom, gdzie mieszkał tylko on i my. Do niego wpadali do ogrodu, na podwórze Ukraińcy, kozacy w strojach narodowych, pędem wpadali na podwórze i on wtedy powiedział mojej matce, gdy ta zapytała, dlaczego oni mordują bezbronnych ludzi, że to jest powstanie. A jego nienawiść i jego dziecka - małego chłopaczka - była tak wielka, że on kiedyś uderzył mnie w twarz i powiedział "ty polska świnio". Ja na pewno bym oddała, bo jestem zadziorna, prawdopodobnie uciekł. I ten pan Hołowaty, czy Głowacki w pewnym momencie wyprowadził się, zniknął, rozmył się ślad po nim.

Co pamiętam z okresu mordów? Wtedy już byli Niemcy. Były to takie myśli, zastanawiano się, kto podsycza te mordy, kto dostarcza im dowodów. Zdarzały się takie historie, że znajdowano zagubione transporty z amunicją, więc przypuszczano, że to Niemcy robią lub że podrzucają to Moskale, żeby siać tam ferment, nienawiść, mord i pożogę.

Pamiętam moją nauczycielkę. Nazywała się pani Wajs, ona jeszcze żyje. Natomiast on został zamordowany w okrutny sposób. Powieszony na drzewie, miał ściągnięte tzw. rękawiczki z rąk. Ukraińcy ściągali z rąk skórę żywcem. I miał przeciętą klatkę piersiową i włożone ręce do wnętrza. Straszne rzeczy.

Była też taka nasza przyjaciółka, też nauczycielka, córka dróżnika, miała siostrę i brata. Zdołała ich ewakuować do Liny - to było miasteczko powiatowe, a sama wróciła, ponieważ bardzo kochała ten swój rodzinny dom. W tym czasie było jeszcze parę jakichś starych sympatii między Ukraińcami a Polakami. Schowała się do ukraińskiego domu i stamtąd mogła obserwować, co się u nich w domu dzieje. Kiedyś do nas przyszła taka trudno powie-

dzieć czy rozgorączkowana, w każdym razie coś świadczyło o jakiś zaburzeniach psychicznych. Ten szok spowodował zaburzenia psychiczne. Właściciele domu, u których ona była wyrzucili ją z domu, ale nie z nienawiści, tylko oni się bali, bo Ukraińcy również mordowali Ukraińców, jeżeli udzielali pomocy Polakom. Ona wtedy szukała, co z sobą zrobić. Schowała się do sanitariatu wiejskiego, stamtąd przez szparę obserwowała, co oni robią. Naprzód obrzucili granatami przez okna do domu, później oblali benzyną, podpalili dom i stali na zewnątrz, czekali czy ktoś nie będzie uciekać, żeby go zabić. Nie wiedzieli o tym, że nikogo nie ma. I ona do nas po tym wszystkim przyszła, pożegnać się chyba i na pamiątkę przyniosła jakieś korale, które do dzisiaj mam. I zniknęła bez śladu.

Takie pożogi później widziałam. Paliły się polskie wsie, czy domy polskie z tych wsi mieszanych polsko-ukraińskich. Mordowano Polaków. Polacy organizowali się, chcieli się organizować by się bronić, nie dać się żywcem zamordować. Myślano o kościołach, o zakonach. Raz zdarzyła się taka historia, że Ukraińcy napadli na kościół, czy klasztor, który był z drzewa. I żywcem upiekło się kilkaset osób. Później organizowali się ludzie indywidualnie 2, 3 rodziny. Były dyżury samoobrony w nocy. Mama dostała jeden granat do samoobrony. Nie potrafię powiedzieć od kogo dostała. Został przyniesiony do domu. Ja jako dziecko już uczestniczyłam w tym rodzinnym dyżurze w nocy. Te dwie, trzy godziny chodziłam od okna do okna, czy nie podchodzą Ukraińcy, żeby w razie czego uciekać. Co się z tym granatem stało? Co ten granat spowodował, nie wiem, ale ja go włożyłam do pieca, żeby rozerwał się przy pierwszym paleniu, ponieważ w drugiej części domu, w którym mieszkaliśmy już byli esesmani. I nam również jeden pokój zajęli esesmani / w czarnych mundurach -



to esesmani byli/. Jeżeli korzystali z łazienki, bo ja do pieca łazienki włożyłam, to na pewno im to wystrzeliło. Ten granat włożyłam do pieca, kiedy opuszczaliśmy dom, z całą świadomością i premedytacją.

Uciekliśmy w 1944 r., jeszcze w czasie odwrotu frontu. Bo front cofał się już właśnie w tym czasie. Matka pracowała. Nie wiem, jaki był cel Niemców w tym, że ułatwiali wyjazdy Polakom na zachód. Wszystkie rodziny, które się zgłaszały, a zgłaszali się praktycznie wszyscy mieszkańcy z naszej osady polskiej - do wyjazdu, do ucieczki. I oni dostawali wagon na 1, 2, 3 rodziny. Można było sobie część rzeczy zabrać. I myśmy wyjechały z mamą do Milanówka do rodziny. To był ten odwrót. Odwrót Niemców bardziej pamiętam. Tą trasą całymi dniami i nocami cofały się różne jednostki wojskowe.

Tu mała dygresja o mordach ukraińskich. W jednostkach niemieckich były oddziały węgierskie. One bardzo biednie wyglądały w porównaniu z Niemcami, bo jak Niemcy jechali samochodami czy czołgami, to Węgrzy jechali na rowerach, furmankach. To były małe jednostki i wyglądało to żałośnie, ale ci Węgrzy żywili tak wielką sympatię do Polaków, że w odwecie za palenie, niszczenie polskich domów i osiedli zaczęli podpalać ukraińskie wsie. To była taka wendeta. I Niemcy zaczęli szybko likwidować, zabierać stamtąd jednostki węgierskie. A tak na marginesie, to jeden z Węgrów - takich szeregowych żołnierzy ... Mama mu dała moje zdjęcie i list do ojca, który był w oflagu na Węgrzech. I ojciec to dostał. On idąc na front był na tyle solidny, że posłał to do swojej matki, ta matka posłała dopiero ojcu. Ojciec przez cały okres wojny był internowany na Węgrzech. Dopiero wrócił w 1945 r. do Polski. W pewnym momencie dał do zrozumienia matce /w liście/, że chce uciekać i wrócić tam na

tante tereny. Ale to przyjechanie jego było równoznaczne z wysłaniem go na Sybir. No i my razem z nim. A nie było żadnych widoków na to, żebyśmy mogli się inaczej urządzić. Matka mu odradziła, żeby nie uciekał w tę stronę. Ja w tej chwili jeszcze mam dużo kartek od ojca, legitymację obozową ojca. Ojciec w dwa miesiące po powrocie z obozu zmarł. Podobno przed śmiercią powiedział swojemu przyjacielowi, że on po powrocie do Polski wstąpił do AK. Ale zmarł na zawał serca. Jakies 3 czy 4 miesiące po powrocie z obozu.

A czy były jakieś represje z tytułu zawodostwa ojca, jego pracy w Korpusie Ochrony Pogranicza na wschodzie? Tak, były represje. Ja miałam represje na studiach. Te wszystkie fakty, że ojciec był kiedyś zawodowym oficerem, że należę do inteligencji ukryłam. Napisałam absurdalne androny w ankiecie, jak dostawałam się na studia. Napisałam, że ojciec był robotnikiem, matka nie pracowała, czy była też robotnicą. Nic wspólnego z inteligencją, bo się mogłam nie dostać. Wszystko było od początku do końca kłamstwem, ponieważ miałam smutne doświadczenie z poprzedniego roku. Na pierwszym czy drugim roku studiów jeden z kolegów poprosił mnie w holu na Politechnice Łódzkiej do jakiegoś ciemnego kąta i powiedział mi, że przeciwko mnie przygotowują jakąś akcję, żeby mnie wyrzucić z uczelni i mają mnóstwo dokumentów, dowodów moich o moim ojcu. Ja mówię "przecież to wszystko kłamstwo". I wtedy ten kolega powiedział tak "co kłamstwo, to kłamstwo, a co prawda, to prawda. Oni wiedzą, że twój ojciec był w K.O.P.-ie". Skąd wiedzą? Wiem, że z Łodzi - kto? nie wiem - ale przyjeżdżał do miejsca zamieszkania mojej matki i ojczyma, przeprowadzali jakieś wywiady na mój temat. Wiedziałam, że jestem oskarżana również o to, że jestem kułakiem. Nie bardzo wiem, na czym polegać miało moje "kułakowanie", ponieważ



ojciec nigdy niczego nie posiadał. Może ich bolało to, że przyjeżdżałam w czasie studiów do rodziców. Nie było żadnego środka lokomocji, tylko konie, więc bryczką względnie sankami dojeżdżałam do tego domu. A że w zimie przysyłano po mnie żebym nie zmarzła piękną z wojny jeszcze - baranicę, szubę z lisów - to była inna sprawa. Ojczym był kierownikiem tartaku w Konewce koło Spały.

Jeszcze chciałabym wrócić do okresu, kiedy byli bolszewicy w Polsce, okres lat 40-tych. Moja kuzynka, która była nauczycielką w Białymstoku, mąż był bodajże inżynierem budowlanym. Został w 1939 r. zmobilizowany, później zginął w Katyniu. Jego nazwisko widniało na publikowanych listach, musiał być zidentyfikowany po odkopaniu grobów. Natomiast o niej nic nie wiedzieliśmy. Matka otrzymała od niej błagalny list, w którym prosiła, by przysłać jej suszone skórki od chleba, bo umiera z głodu. Nazywała się ona Janina Grochowska z domu Winkler. Wyszła później za mąż po raz drugi, zmieniła nazwisko. A wtedy matka na ten tragiczny list wysłała jej paczkę żywnościową i jakieś rzeczy dla jej dziecka. I wtedy ona odpisała, że te rzeczy dziecka są już niepotrzebne, bo dziecko w drodze, w transporcie zmarło i musiała je pochować, a właściwie wyrzucić razem z innymi trupkami dzieci, które były w tym transporcie. Sądzę, że zabrano ją w 39, 40 roku. Tego dokładnie nie potrafię powiedzieć. Jej losy są bardzo ciekawe. Nie chciałabym za nią mówić. Ona jest w tej chwili w Polsce. Na te tematy nie chce zabierać głosu, być może nie chce być wyrzucona z Polski, bo ma obywatelstwo angielskie w tym momencie. Na terenie Rosji przeżywała krytyczne chwile, a w końcu postanowiła żyć i pomagać innym. Kiedy przyszła tzw. amnestia /jest to straszne słowo - amnestia - bo niby, co ci Polacy zawinili, to jest zbrod-

nia mówić o amnestii/ to Polacy, którzy mieli jeszcze trochę energii i chęci pomagania innym tworzyli komitety pomocy. I ona była w takim komitecie. I te komitety pewnej pięknej nocy zlikwidowano aresztując wszystkich pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. To było w okresie tworzenia armii Andersa. Ona była później aresztowana, była w więzieniu, chorowała. To brzmi w tej chwili humorystycznie, ale opowiadała mi, że przyszli do celi przeczytać jej wyrok i przeczytali, że zostaje skazana na najwyższy wyrok kary w Związku Radzieckim - na wydalenie ze Związku Radzieckiego. Ucieszyła się bardzo. I z Andersem opuściła Rosję. Matka wysłała jej te paczki, jedną, dwie, jakieś pieniądze. I to jednak doszło do niej. Jakaś to dziwna sprawa. W okresie wojennym ten kontakt był utrzymany z nią. Bardzo luźny, ale utrzymany.

- Może to było niedopatrzenie ze strony władz sowieckich?

- U nich był taki straszny bałagan bolszewicki, że to rzeczywiście mogło być niedopatrzenie. Zresztą tak samo, jak moja matka, żeby uchronić się przed wywózką usiłowała załatwić sobie paszport na nazwisko panięńskie wmawiając im, że tak się nazywa, a nie inaczej tzn. Gabrysik. I otrzymała taki paszport na zmienione nazwisko. Był taki totalny bałagan. To uratowało ją przed wywózką.

W tym momencie tyle rzeczy zapamiętałam, strzępy wspomnień dziecka.

*Text autoryzowany  
Jm*